

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (40)

(fragmenty)



Bogusław cieszył się zrazu nie tylko opinią dobrego poety i krytyka, co w Krakowie nie jest takie proste, bo co drugi poeta nosi noblowską buławę w kieszeni, lecz i... astrologa oraz osoby zarówno elokwentnej, jak i gościnnej i przyjaznej bliźniemu. Na Krupniczej miesiali w jego pokoiku biesiadny przystanek poeci nie tylko z Krupniczej (na przykład Ziemiaków), lecz i „z miasta” (należałem do często go odwiedzających), tym bardziej że w mieszkaniu u Bogusia, jako natury kresowej, wiadomo było, że oprócz składkowej półlitrowki i ciekawych rozmów o literaturze, Bogu, kobietach, astrologii – nie braknie kanapek z gustem przystrojonych przez gospodarza, w dodatku zajmującego gawędzącego o różnych ekologicznych przysmakach, bo na kuchni znalazł się jak mało kto, a wiedzę o zdrowym jedzeniu posiadał w stopniu wręcz tajemnym od swego mistrza, słynnego na cały Kraków doktora Aleksandrowicza, który wyleczył poetę z groźnych wątrobowych dolegliwości. Prawdopodobnie przyjaźnił z doktorem, a nie tylko fakt otrzymania pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim, zdecydowała o przeniesieniu się Bogusława z Opola do Krakowa...

Podczas wieczornych posiadów interesowały nas szczególnie wspominki gospodarza o swoich przyjaciółach młodości: Wojaczku i Stachurze.

Z kolei on wysłuchiwał z uwagą, co mieliśmy do powiedzenia na temat krakowskiego środowiska literackiego i naszej wizji poezji, bo zamierzał w Podwawelskim Grodzie osiąść na stałe, co mu zresztą kiedyś przepowiedział Tadeusz Nowak.

W mieszkaniu u Bogusława pojawiał się zapomniany dziś poeta Tadeusz Szaja, który młodość spędził na robotach w Niemczech, co odbiło się na jego zdrowiu psychicznym, czasem wpadała Wanda Szajowa bądź Marysia Ziemiaków (obie już nie żyją), kontrolująca ilość procentów w organizmie męża. No cóż, zdarzało się czasem, że nasze filozoficzne, a w latach 80. też polityczne dysputy i

utarczki przeciągały się do późna, a kończyły się właśnie „zapasy paliwa” na Krupniczej. Mocno już po północy przenosiliśmy się więc gdzieś indziej, ot choćby do mnie, a oryginalnym środkiem lokomocji była raz nawet miejska ciężarowa polewaczka służąca do zmywania ulic. Siedzieliśmy „na koźle” szoferki we czwórkę. Oczywiście moja żona nie była specjalnie zachwycona spóźnioną wizytą i „wziętym barem”, ale nie dawała tego po sobie poznać, tym bardziej w obecności Bogusia, który ujmował zawsze wszystkie kobiety szarmanckim zachowaniem oraz wybitną wiedzą astrologiczną. W pewnym momencie wykorzystałem ją nawet na użytek ówczesnego tygodnika „Wieści”, gdzie pracowałem i gdzie poeta prowadził – pod egzotycznym pseudonimem – kącik astrologiczny...

Wiatach 1996-2008 Boguś sprawował funkcję prezesa krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, mającego w swoich szeregach, jako członków, dwoje noblistów. O zasługach poety-prezesa, różnych inicjatywach, imprezach wymyślonych przez niego, a także powadze i przejęciu, z jakim sprawował swoją funkcję – można by się długo rozwozić. Na użytek pobieżnego szkicu do portretu poety podam tylko drobny przykład dotyczący mojej osoby, najlepiej świadczący o koleżeńskości Bogusia i o tym, jak bardzo angażował się w swoją prezesurę.

W 2004 roku poprosił mnie, bym złożył podanie jako kandydat SPP do prestiżowej dorocznej Nagrody Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa, bo zdaniem Bogusława miałem w tym roku z różnych względów szansę jej otrzymania. W związku z tym musiałem wypełnić odpowiednie formularze, napisać życiorys i koniecznie przynieść mu to, żeby mógł rzucić okiem, „bo ja najlepiej wiem, jak to zrobić, żeby zadowolić magistrackich urzędników i jurorów”. Tymczasem znalazł się jednak w szpitalu i czekała go operacja na sercu. Nie ośmieliłbym się więc zaprzętać mu głowy swoimi sprawami, gdyby nie to, że sam do mnie zadzwonił ze szpitala i zażądał, bym przyszedł do niego z podaniem. Nie koniecznie na tym... Po przejrzaniu wypełnionych druków – zadzwonił jeszcze raz i naniósł swoje dość istotne i gruntowne poprawki, mimo że następnego dnia miał zabieg. Wykazywał duże zainteresowanie sprawą i w końcu tak bardzo ucieszył się z otrzymanej przeze mnie nagrody, jakby to była jego własna. Niekiedy bywał w swojej szlachetnej troskliwości i nadopiekuńczości przesadnie skrupulatny i narzucający swoją wolę, ale gdyby nie miał tych cech charakteru, pewnie byłbym o te 20 tysięcy (tyle wynosiła nagroda) uboższy...

Wcześniej, bo w roku 2000 przeżyliśmy z Bogusławem intrygującą poetycką przygodę. Promowaliśmy swoje polsko-angielskie tomiki wierszy w siedzibie ONZ Nowym Jorku, przy czym ani przekłady, ani promocja nie miały nic wspólnego ze Stowarzyszeniem Pisarzy i prezesurą Żurakowskiego, lecz z amerykańskim wydawcą Stanleyem Barkanem i poetą Adamem Szyperem z Nowego Jorku, którym przypadliśmy jako poeci do gustu. Trzecim lansowanym przez nich poetą był zresztą członek ZLP Dariusz Tomasz

Lebioda z Bydgoszczy.

Miting poetycki miał uroczysty charakter, wystąpiło z nami w sali teatralnej Dag Hammarskjöld Auditorium trzech wybitnych poetów amerykańskich: zdobywca National Book Award oraz założyciel Domu Poetów w Nowym Jorku – Stanley Kunitz, laureat Nagrody Pulitzera Henry Taylor i Gerald Stern, też zdobywca National Book Award.

Jednak prawdziwa przygoda zaczęła się później. Boguś polecił samolotem do swojej córki mieszkającej na stałe w Seattle, ja po sześciogodzinnym locie znalazłem się u przyjaciela Leszka Czuchajowskiego w Idaho. A w dwa tygodnie później Leszek Czuchajowski zaprosił też Bogusława na tydzień do Idaho i tak znaleźliśmy się razem w jednym domu. W książce „Koncert dla nosorożca” opisałem szczegółowo wspólne wyprawy z Leszkiem do rezerwatów indiańskich, odwiedzin w kasynach prowadzonych przez Indian, wyprawy do krainy łososi, zapór i zboża. I tu Bogusław nie dał się zbić z pantyliku, i jak to on, potrafił zajmując wykladać naszym amerykańskim przyjaciołom swoje teorie na temat Indian, Ameryki, łososi, dzieląc się z nimi swoją wiedzą tak przekonująco, że w końcu pogubiłem się: kto mieszka w Ameryce, a kto w Polsce? Czy Boguś, czy też profesor chemii i poeta Leszek Czuchajowski oraz jego znajomy Polak, wykładowca uniwersytecki w Idaho, geograf Piotr Jankowski?

W kasynie prowadzonym przez Indian Boguś chciał koniecznie zajrzeć Indianinowi w oczy, a co tam dojrzał, to opisał w bardzo intrygującym wierszu: „Spojrzałem w oczy Indianinowi”. Ukazał się on w jego ostatnim tomiku „Podobieństwo” (Kraków 2009), a zaczyna następująco:

*Spojrzałem w oczy Indianinowi – w samym centrum gry,
Gdzie dwustu białych codziennie siedzi przy stolikach z cyframi.
Wrzucają pieniądze, wydobywają pieniądze.
Czy oni są tymi dumnymi
Mężczyznami i kobietami, o których śpiewał
Walt Whitman? Zdobycy ziemi
Walczą teraz z automatami pełnymi
przekleństw, a On patrzy na nich
Czynnym okiem jak na stado bizonów
w dolinie bez wyjścia (...)*

Jak tłumaczono nam żartobliwie, indiańskie kasyna to rekompensata za holokaust i zemsta czerwonoskórych na białych, którzy stają się teraz niewolnikami hazardu. Na marginesie dodam, że w większości stanów, w których prawo zakazuje prowadzenia gier hazardowych przez Amerykanów, Indianie mają na nie wyłączność od momentu, gdy Kongres USA uchwalił, a prezydent Reagan zatwierdził tę ustawę, pozwalającą Indianom na czerpanie zysków z owych kasyn...

Wiersz Bogusława jest napisany szeroką frazą, jak jego najdawniejsze liryki, w odróżnieniu od większości utworów z tomiku „Podobieństwo”, gdzie przeważają miniaturki liryczno-filozoficzne.

cdn.